



ANTYKWARIAT KOLEKCJA WŁASNA

**Książki, Bajki,
Przeźrocza, Dokumenty**
ze szkolnej biblioteki i zbiorów domowych

Wspomnienia literatury ze szkolnych lat
od 1948 roku do czasów dzisiejszych



Opracowania edytorskie wykonane z kolekcji
i zbiorów prywatnych

JaWa48©
tworzone od roku 2012

Indeks: 00137/2013/10

***Opracowanie edytorskie: Jawa48[©]
na podstawie egzemplarza ze zbiorów prywatnych***

***Tylko do użytku wewnętrznego i osobistego bez prawa przedruku i publikacji tak
w części jak i w całości.
Październik 2013***

Prawa autorskie

należą do autora, autorów ilustracji, Państwowego
Wydawnictwa Literatury Dziecięcej
NASZA KSIĘGARNIA,
ich spadkobierców oraz innych osób fizycznych i
prawnych mających lub roszczących sobie takie prawa.

Materiały wykorzystane w opracowaniu, stanowią źródło danych o
naszej kulturze, literaturze i historii, stanowią własność publiczną, a ich
rozpowszechnianie służy dobru ogólnemu.

Wykorzystywanie tylko do użytku osobistego, tak jak czyta się książkę wypożyczoną
z biblioteki, od sąsiada, znajomego czy przyjaciela.

Wykorzystywanie w celach handlowych, komercyjnych, modyfikowanie, przedruk i tym
podobne bez zgody autora edycji zabronione.

Niniejsze opracowanie służy wyłącznie popularyzacji tej książki i przypomnienia
zapomnianych pozycji literatury z lat szkolnych.

CHIŃSKIE BAJKI LUDOWE I PRZYSŁOWIA



PIĘCIU BRACI LI

Wybór i opracowanie
MARIA GÓRSKA

Ilustracje: **Więold CHMIELEWSKI**



NASZA KSIĘGARNIA Warszawa 1956 (1958)
Wydanie IV (V)

PIĘCIU BRACI LI

CHIŃSKIE BAJKI LUDOWE I PRZYSŁOWIA



NASZA KSIĘGARNIA

CHIŃSKIE BAJKI LUDOWE
I PRZYSŁOWIA

PIĘCIU
BRACI
LI

ZEBRAŁA I OPRACOWAŁA
M A R I A G O R S K A

WYDANIE V

JWLD

NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA 1958

ILUSTROWAŁ WITOLD CHMIELEWSKI

REDAKTOR
IRENA NOWAKOWA

BIBLIOTEKA SZKOŁY PODSTAWOWEJ

Nr

~~136~~

DLA MŁODSZYCH DZIECI (7-9 lat)

Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej
„Nasza Księgarnia” Warszawa 1956
Wydanie IV

Nakład 60000+265 egz. Ark. wyd. 3,4. Ark. druk. 7
Papier offsetowy kl. V, 90g, role 84 cm
produkcji Fabryki Papieru w Boruszewicach
Oddano do składania 14.I.56 r. Podpisano do druku 9.VI.56 r.
Druk ukończono w czerwcu 1956 r.

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej, Warszawa
Zam. 73/56 B-011 Cena zŁ. 1,40.

SPIS TREŚCI

BRACIA LI	str. 9
DZWON SIAO-LIN	str. 15
DZIESIĄTE SŁOŃCE	str. 21
UPARTY JUN-SU	str. 23
ŻÓŁTY BOCIAN	str. 25
LIS I TYGRYS	str. 28
JAK ZWAŻYĆ SŁONIA	str. 30
BOGACZ I JEGO PAROBEK	str. 33
TYGRYS JELEŃ I LIS	str. 36
WYSPA SŁOŃCA	str. 38
LU-IN I MAKAKA	str. 44
FARBOWANY SZAKAL	str. 49
OCZY ŚWIĘTEGO SMOKA	str. 53
PRZYSŁOWIA CHIŃSKIE	str. 59

BRACIA LI



Nad żółtymi wodami Jangtsekiangu żyła ongiś pewna dobra kobieta. Miała ona pięciu synów — pięciu braci Li — Li Pierwszy, Li Drugi, Li Trzeci, Li Czwarty i Li Piąty. Bracia tak podobni byli do siebie, że często nawet własna matka nie mogła ich rozróżnić. Ale każdy z nich obdarzony był inną właściwością. Li Pierwszy potrafił wypić całe morze, a potem wyrzucić je z siebie jak fontannę, Li Drugi nie bał się ognia, Li Trzeci umiał wyciągnąć nogi tak daleko, jak mu się podobało, Li Czwarty miał ciało mocniejsze niż stal, a najmłodszy z braci — Li Piąty — rozumiał doskonale mowę ptaków i zwierząt.

Bracia żyli w wielkiej zgodzie.

Li Pierwszy łowił ryby, Li Drugi podtrzymywał ogień na palenisku, Li Trzeci i Li Czwarty pracowali w polu, a Li Piąty pasał owce i gęsi.



Pewnego razu przybył na polowanie w te strony, gdzie mieszkali bracia, mandaryn zły i bogaty. Ujrzał na skraju lasu małego pastuszka strzegącego stada. Był to Li Piąty. Obok Li spokojnie spała prześliczna górska kózka. Mandaryn szybko naciągnął łuk i wycelował w kózkę. Widząc to przerażony Li krzyknął i kózka jednym susem znalazła się w lesie. Z lasu wychylił się jelen. Li zawołał w jego mowie: „Ratuj się!” i jelen również znikł. Wyskoczyły na polanę wesołe zajączki, Li przestrzegł je w języku zajęcy i zające zaczęły zmykać.

I tak ukryły się wszystkie zwierzęta.



Ośłupiały ze zdumienia, rozgniewany srodze, stał mandaryn w opustoszałym lesie. A dobry Li cieszył się, że zdołał pomóc swoim leśnym przyjaciołom.

Rozwścieczony mandaryn domyślił się, czyja to sprawka, i rozkazał sługom schwytać Li Piątego. Złapano go, zawleczono do

miasta i wrzucono do klatki głodnego tygrysa. Mandaryn był pewien, że tygrys rozszarpie zuchwałego biedaka, ale Li przemówił do tygrysa w języku tygrysów i dzika bestia nie tknęła chłopca.



Mandaryn rozgniewał się jeszcze bardziej i rozkazał uciąć Li Piątemu głowę.

I oto do więzienia, w którym zamknięto Li, przedostał się jego brat — Li Czwarty, ten, który, ciało miał mocniejsze niż stal. Li Czwarty zajął w więzieniu miejsce Li Piątego.

Nikt nie zauważył tej zamiany, albowiem bracia bardzo byli podobni do siebie.

Następnego dnia na plac miejski, gdzie się odbywały karnie, wyprowadzono Li Czwartego. Kat wzniósł miecz, by ściąć mu głowę. Ale ciężki, z najtwardszej stali wykuty miecz rozprysnął się w kawałki, gdy ostrze jego dotknęło twardej jak kamień głowy Li Czwartego.

Okrutny mandaryn wpadł w straszliwy gniew i kazał zuchwalca strącić z wysokiej skały.

Nocą przedostał się do więzienia Li Trzeci, ten, co potrafił wyciągnąć nogi tak daleko, jak mu się podoba, i zajął miejsce brata.

I znów nikt nie domyślił się zamiany.

O świcie zaprowadzono Li Trzeciego na wysoką skałę. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby skazaniec strącony z tej skały pozostał przy życiu.



Lecz gdy kaci strącili Li Trzeciego, ten spokojnie wyciągnął swoje niezwykle nogi i stanął na ziemi.

Pieniąc się ze złości, wrócił mandaryn do swego pałacu i kazał spalić na stosie krnąbrnego Li.

Ułożyli oprawcy przed oknami pałacu mandaryna ogromny stos drzewa. Plac otoczyły zbrojne straże. Zewsząd cisnęły się tłumy ludzi.

W ostatniej nieomal chwili przedostał się do więzienia Li Drugi, ten, któremu niestraszny był ogień, i zajął miejsce brata. W chwilę potem mandaryn dał znak i wyprowadzono skazańca.

Kaci pochwycili Li Drugiego i rzucili go w sam środek rozpalonego stosu.

Języki ognia sięgały pod niebo. Poprzez ogień i zasłonę czarnego dymu nie widać było

nieszczęśliwego chłopca. Lud płakał rzewnymi łzami. Tylko okrutny władca śmiał się złośliwie.

Ale dym się rozproszył i wszyscy ujrzeni, że Li Drugi stoi nietknięty wśród płomieni i uśmiecha się łagodnie.

Mandaryn dusił się ze złości. — Cóż to za człowiek! — krzyknął. — W ogniu się nie spala, nie rozbija się o skały i miecz go się nie ima! Straszny tygrys również nie chciał go tknąć! Tak być nie może! Jakże to?! Żebym ja, potężny mandaryn, nie mógł sobie poradzić ze zwykłym, marnym chłopcem?!

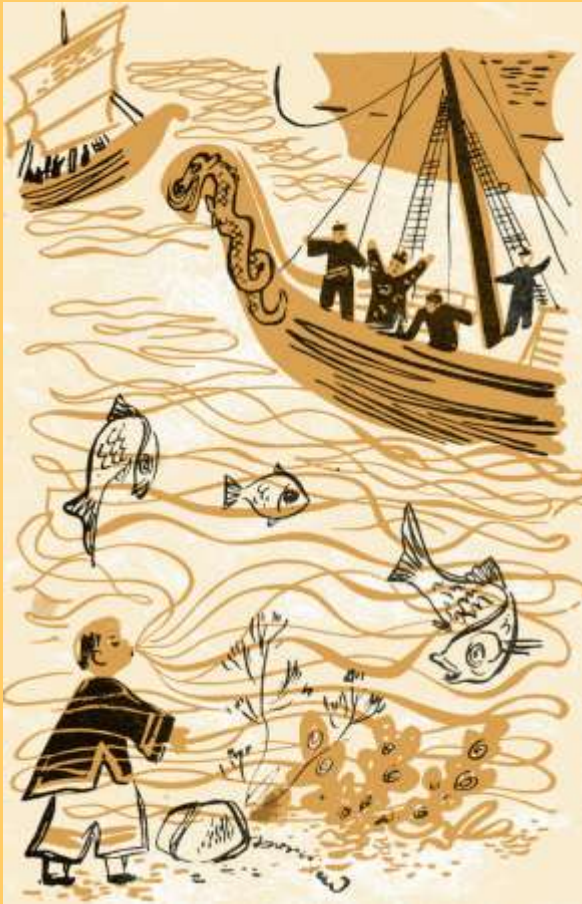
I rozkazał okrutnik zawieźć Li daleko na morze, uwiązać mu ciężki kamień u szyi i utopić.

Z wielkim trudem udało się Li Pierwszemu, temu, co potrafił wypić całe morze, przedostać się do więzienia. Zajął miejsce brata i czekał.

Przewieziono Li Pierwszego na okręt. A mandaryn ze swoimi strażami płynął na drugim okręcie. Gdy okręty znalazły się na środku morza, uwiązano Li Pierwszemu kamień u szyi i na znak dany przez nieludzkiego władcę zrzucono chłopca z pokładu w spienione fale.

Kiedy Li skrył się pod nimi, natychmiast zaczął pić wodę. Zadrzał ze strachu mandaryn, gdy zobaczył, że morze gdzieś





ucieka. Wkrótce ukazało się dno. Okręty przewróciły się, a mandaryn i jego słudzy ugrzęźli w mule.

Li odwiązał kamień, wyszedł spokojnie na brzeg i wyrzucił morze ze swego wnętrza na dawne miejsce.

Okrutny mandaryn i jego strażę pozostali na dnie morza i utonęli.

A lud cieszył się z klęski złego władcy i śpiewał pieśni o niezwyciężonych braciach Li.



DZWON SIAO-LIN



W stolicy Chin, w przepięknym Pekinie, na krańcu miasta znajduje się olbrzymi dzwon. Dzwon ten nie ma równego sobie na całym świecie ani co do wspaniałości dźwięku, ani co do piękności i blasku metalu, z którego jest odlany.

W odwiecznych księgach i prastarych kronikach daremnie byś szukał imienia mistrza, który dzwon ten odlała

I jak to się dzieje, że dźwięki olbrzymiego dzwonu, tak łagodne i przeczyste niby szmerzące wody górskiego strumyka, stają się naraz potężne i groźne?...

O tym wszystkim kroniki milczą.

Ale starzy ludzie wiedzą. Wiedzą, kto, wiedzą, kiedy odlał ten cudowny dzwon, i wiedzą też, dlaczego głos jego kryształowo czysty i łagodny naraz staje się potężny i groźny.

A więc posłuchajcie.

Przed wieloma wiekami nakazał panujący wówczas w Chinach cesarz zbudować nowe miasto.

— Nazwę to miasto Pekin — powiedział — i niechaj będzie ono największym i najpiękniejszym miastem w całej Azji.

I oto dwukrotnie już zbudował lud wielkie miasto Pekin i dwukrotnie, zburzone przez wrogów, legło ono w gruzach. Nieprzyjaciel, niby zła. szarańcza, spadał na chińską ziemię, uprowadzał mężczyzn do niewoli, a miasto obracał w perzynę.

Cesarz chiński, wielce strapiony, udał się daleko w góry do samotni mądrego pustelnika.

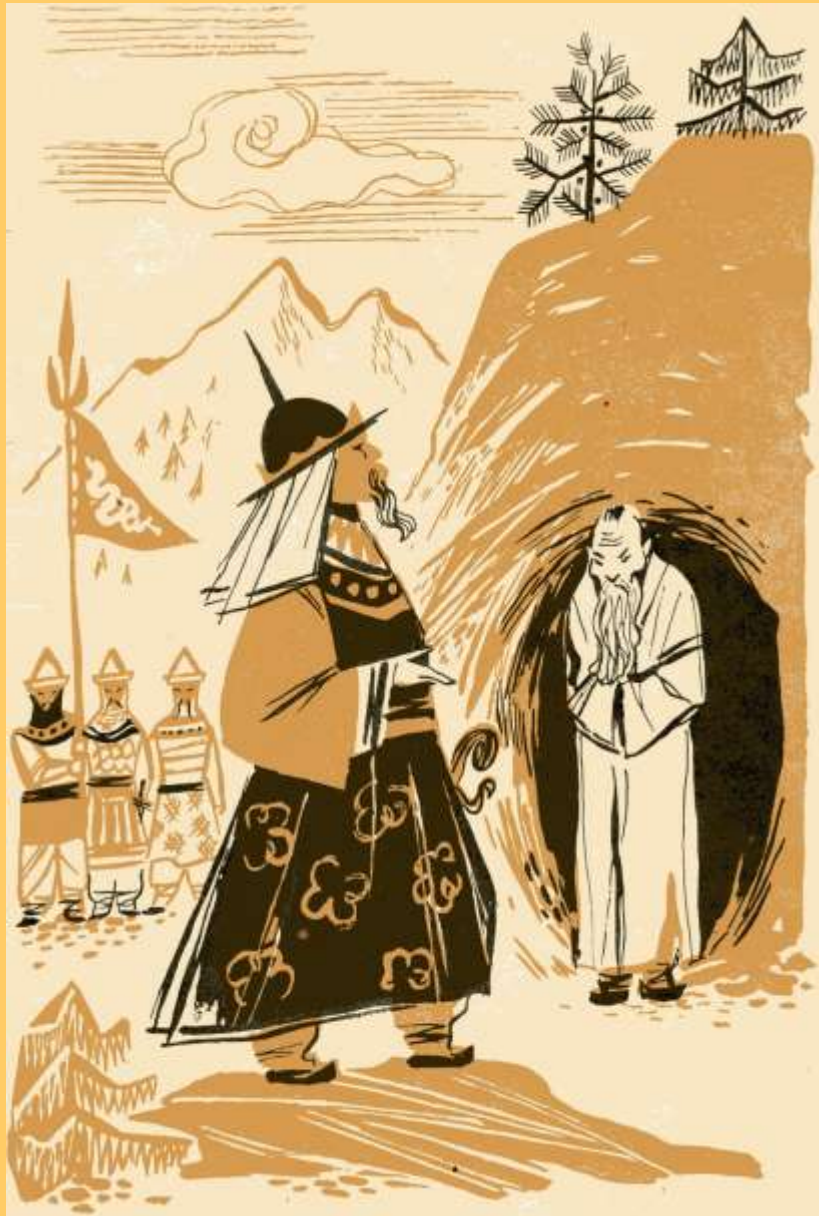
— Jesteś stary i mądry — rzekł z pokorą, wszedłszy do pieczary mędrca. — Radź, co czynić, by stolicę Chin — Pekin, uchronić przed okrucieństwem wroga.

I powiedział starzec:

— Niechaj najświetniejszy mistrz odleje największy na świecie dzwon. Głos tego dzwonu winien sięgać najdalszych granic twojego państwa — z południa na północ i ze wschodu na zachód.

Cesarz wrócił do pałacu, klasnął po trzykroć w dłonie i nakazał swoim dostojnikom: Szukajcie i sprowadźcie mi najdoskonalszego mistrza w moim królestwie.

Rzucono się na poszukiwania i wkrótce sprowadzono
arcymistrza przed oblicze cesarza.



Kiedy Czen — takie bowiem było imię arcymistrza —
zgiął kolana przed tronem, cesarz rozkazał:

— Odlejesz największy na świecie dzwon. I niechaj
dźwięki jego sięgną najdalszych granic mojego nieogarnionego
królestwa.

Czen przystąpił do dzieła. Pracował bez wytchnienia, a jego przepiękna córka, piętnastoletnia Sjao-Lin, pomagała mu w dobieraniu dla dzwonu najbardziej złotego złota, najbielszego srebra i najczarniejszego żelaza.

Wiele dni i nocy pławił się w rozpalonym piecu drogocenny metal. Ale gdy Czen odlał dzwon, wszyscy z przerażeniem ujrzeni na jego powierzchni pęknięcie.

Powtórnie zabrał się Czen do roboty. I znów dzień i noc pomagała mu jego pracowita córka.

Ale niepowodzenie prześladowało starego mistrza. Gdy Czen po raz drugi odlał swój dzwon, na jego powierzchni widniało już nie jedno, ale dwa pęknięcia.

Rozgniewany władca rzekł:

— Jeśli po raz trzeci się to powtórzy, pożegnasz się z tym światem, Czenie!

Nieszczęsny mistrz po raz trzeci zabrał się do roboty. Ale nie było radości w jego wzroku, a ręce utraciły zwykłą pewność. A wszak wiadomo, że ten, któremu praca nie daje zadowolenia, nigdy doskonałości nie stworzy.

Posmutniała piękna Sjao-Lin.

W nocy, w tajemnicy przed ojcem, przybiegła do starego pustelnika. Płacząc gorzko, opowiedziała Sjao-Lin o nieszczęściu swojego ojca i błagała starca o pomoc i radę.

Tylko przez jedną chwilę zawahał się stary mędrzec, a potem powiedział:

— Głos dzwonu musi rodzić zwycięstwo. Takiego dzwonu nie stworzy się samym tylko srebrem, żelazem i złotem. Trzeba, żeby z metalem krew człowieka się połączyła. Człowieka, który gotów jest oddać życie za swoją ojczystą ziemię.

Rankiem Sjao-Lin pomagała swojemu ojcu jak zwykle. Stała przed paleniskiem i patrzyła na roztopiony metal, a smutne myśli boleśnie ścisnęły jej serce. Sjao-Lin wiedziała to, czego nie wiedział jej ojciec — dzwon znów będzie pęknięty, jeżeli nikt nie złoży swojego życia w ofierze. A więc wrogowie Chin ciągle będą nękać jej ojczyznę: brać do niewoli młodzieńców i dziewczęta, zabijać starców i dzieci, palić chińskie miasta i wsie.

Nie! Już nigdy tego nie będzie! I na oczach skamieniałego ze zgrozy ojca córka jego, przepiękna Sjao-Lin, znikła w roztopionym metalu. Zapłakał nieszczęsny Czen. Sjao-Lin była jego jedynym dzieckiem i ojciec kochał ją ponad wszystko na świecie.

— Dlaczegoś to uczyniła, dlaczego?! — rozpaczął nieszczęśliwy i grube łzy spływały po jego zmarszczonej twarzy.

Dzwon został odlany. Był to największy dzwon na świecie. A jego lśniąca powierzchnia była bez skazy — nie miała ani jednego nawet draśnięcia. Cały naród podziwiał cudowne dzieło i sławił Czena i jego niepospolity kunszt.

Zgodnie z pradawnym obyczajem pierwszy uderzył w dzwon stary arcymistrz. I przeczyste dźwięki napełniły wszystkie serca radością i otuchą.

A Czen w tych przejmujących dźwiękach słyszał głos ukochanej córki, która oddała swoje młode życie za ziemię, na której się urodziła i którą ukochała ponad wszystko na świecie.

Mijały dni. Przepiękne miasto Pekin było już odbudowane. I oto nagle pewnego dnia o świcie mieszkańcy miasta usłyszeli nawołujące dźwięki dzwonu. Bił na trwogę. Nikt weń nie uderzył. Bił sam. I jego przejmujący głos docierał do najdalszych granic Chin — z południa na północ i ze wschodu na zachód. I serca ludzi, którzy słyszeli ten głos, napełniały się męstwem i odwagą. Ręce mężczyzn rwały się same do broni. Młodzieńcy zmieniali się w dojrzałych mężów, a dojrzały mężczyźni nabierali mądrości starców.

Kiedy Wróg przy alarmujących dźwiękach dzwonu wdarł się do Chin, przeciwko niemu powstał cały naród. Żołnierze chińscy nie czuli zmęczenia ni strachu, albowiem w sercach ich rozlegały się gniewne dźwięki bijącego na trwogę dzwonu — nawołujący głos dziewczęcia Sjao-Lin.

Wróg został pobity i wypędzony.

Tak było. I tak będzie! Bo w sercach ludu wiecznie rozlegać się będą głosy tych, którzy umierali dla szczęścia swojego kraju.



DZIESIĄTE SŁOŃCE



Wiele, wiele lat temu mieszkał w Chinach słynny myśliwy I. Myśliwy I chodził na grubego zwierza: na niedźwiedzie, dziki, lamparty; nie gardził też ptactwem, zającami i lisami.

Strzelał myśliwy I tak celnie, że nigdy nawet nie spojrzał, czy trafił do celu, lecz od razu po wypuszczeniu strzały pędził za nią na koniu. Nie zdarzyło się nigdy, żeby jego strzała nie dosięgła ofiary.

Nikt nie znał w całych Chinach takiego, jak on, strzelca. Tylko jego uczeń Fyn-Myn mógł się z nim mierzyć. Gdy strzelali do siebie z daleka, groty ich strzał zderzały się w powietrzu i ze zgrzytem krzeszały iskry. Ale nawet Fyn-Myn nie posiadał sztuki chwytania w locie strzał wroga wargami i przegryzania ich, jak to potrafił myśliwy I.

Pewnego razu spadło na kraj wielkie nieszczęście. Na niebie pojawiło się na raz dziesięć słońc. Dziesięć ogni bezlitośnie

paliło ziemię we dnie i w nocy. Wszystkie rośliny zostały doszczętnie spalone. Ludzie i zwierzęta dusili się z gorąca.



Myśliwy I zaczął przemyśliwać, jak uwolnić kraj od klęski, którą ściągnęło dziesięć słońc. Wziął swój najmocniejszy łuk z czarnego drzewa, położył na cięciwę dziesięć strzał i puszczał jedną po drugiej. Czynił to tak błyskawicznie, iż zdawało się, że jedną tylko strzałę wypuścił. Powietrze napełnił nieprzerwany świst. Strzały leciały wachlarzowato i każda z nich przebijała jedno słońce. Ale dziesiąte słońce, nie zauważone przez dzielnego I, skryło się za górami i w ten sposób uniknęło śmiertelnej strzały. Na ziemi zrobiło się od razu zimno i ciemno.

Przelał się myśliwy, że nic nie ogrzeje teraz ziemi, i bardzo się zmartwił, że nie pozostawił ani jednego słoneczka na niebie.

A tymczasem dziesiąte słońce pomyślało, że myśliwy już sobie poszedł, podniosło się ostrożnie i zerknęło na ziemię. Ujrzało słoneczko myśliwego i wielce przerażone skryło się znowu.

A myśliwy I ucieszył się, że choć jedno słońce pozostało na świecie, zebrał strzały, wziął łuk i poszedł do domu.

Ale odtąd biedne słońce boi się myśliwego.

Wzędzie na wschodzie, poświeci trochę i znowu kryje się na zachodzie.

UPARTY JUN-SU



Mały Jun-Su nie miał ojca. Mieszkali we dwoje z matką. W domu głodno było i chłodno. Bywały dni, że nie mieli nawet garsteczki ryżu.

Jun-Su był już w tym wieku, w którym chłopcy zazwyczaj rozpoczynają naukę, a on nie miał ani papieru, ani tuszu, ani pędzelka do pisania. Ale Jun-Su był uparty i postanowił:

„Będę się uczył”.

I zaczął przemyśliwać nad tym, jak oszukać biedę. Poszedł Jun-Su do bogatego sąsiada i mówi:

— Słyszałem, że szukasz robotnika. Weź mnie do siebie. Lat, co prawda, mam niewiele, ale za to będę cię tanio kosztował. Pozwól mi tylko zamiast zapłaty od czasu do czasu popatrzeć, jak uczą się twoi synowie. To mi wystarczy.

Bogacz ucieszył się, że będzie miał darmowego robotnika, i zgodził się chętnie.

Jun-Su pracował od świtu do nocy.

Najcięższą robotę zwalano na niego. Ale za to mógł zajrzeć czasem do ksiązek, z których uczyli się synowie gospodarza, a niekiedy udawało mu się nawet, ukrytemu w kącie za drzwiami, wysłuchać całej lekcji.

W taki oto sposób zdobywał wiedzę.

Po upływie roku umiał już przeczytać poszczególne wyrazy. Za to z pisaniem było gorzej. Jun-Su nie miał czym pisać.

Zamyślił się Jun-Su, jak wybrnąć z kłopotu. I wymyślił.

Jun-Su mieszkał ze swoją matką w maleńkiej chatynce nad samym brzegiem morza. Cały dzień fale biły o przybrzeżny piasek, wygładzając go i zmywając wszelkie pozostawione na nim ślady. I oto wziął Jun-Su cienką laseczkę i przyszedł nad brzeg morza. Szybko narysował na piasku jakieś słowo. Po chwili fala je zmyła. Jun-Su napisał następne słowo. I znów zmyła je fala. W taki oto sposób mógł pisać Jun-Su, ile tylko zapragnął.

Teraz małemu Jun-Su potrzebne były książki. I oto pewnego dnia powiedział do swego gospodarza:

— Już cały rok przepracowałem u ciebie za darmo. A teraz chciałbym otrzymywać zapłatę. Ale gotów jestem rok jeszcze przepracować, jeżeli pozwolisz mi czytać twoje książki.

Bogacz nie chciał stracić darmowego robotnika i zgodził się. Ale dni dla Jun-Su były zbyt krótkie, pracował bowiem od świtu do zmroku; uczyć się mógł zatem tylko po nocach. Jun-Su był tak biedny, że nie miał za co kupić oliwy do lanapy. Ale i na to znalazł radę. Uczył się przy blasku księżyca.

A gdy księżyc nie było, zbierał w trawie świecące robaczki i nalepiał je na liść bambusa.

Minęło wiele lat. Jun-Su osiągnął swój cel. Stał się wielkim uczonym. I po dziś dzień pamiętają ludzie o szlachetnej wytrwałości małego, biednego Jun-Su.

ŻÓŁTY BOCIAN



Żył ongiś w Chinach bardzo biedny student Mi. Był tak biedny, że nie miał czym zapłacić nawet za filiżankę herbaty. Mi niechybnie zginąłby z głodu, gdyby nie pewien właściciel herbaciarni.

Ulitował się on nad biedakiem i zaczął go za darmo karmić.

Wreszcie Mi ukończył naukę i przyszedł do gospodarza pożegnać się.

Odchodzę. Nie mam pieniędzy, by zapłacić za wszystko, co u ciebie zjadłem i wypilem. Nie chcę jednak okazać się niewdzięcznikiem. Patrz!

Student Mi wyjął z kieszeni kawałek żółtej kredy i narysował na ścianie herbaciarni bociana. Bocian był jak żywy, tyle tylko że żółty.

Ten bocian — powiedział Mi — przyniesie ci tyle pieniędzy, że wielokrotnie pokryją mój dług. Ilekroć zbiorą się goście i trzy razy klasną w dłonie, bocian zejdzie ze ściany i będzie tańczył. Ale pamiętaj — nigdy nie każ mu tańczyć na żądanie jednego tylko człowieka. A teraz żegnaj!

Student Mi odwrócił się i poszedł.

Właściciel herbaciarni był oszołomiony. Pełen niedowierzania postanowił jednak spróbować.

I kiedy w herbaciarni zebrało się mnóstwo ludzi, gospodarz poprosił wszystkich, żeby trzy razy klasnęli w ręce. I oto natychmiast sfrunął ze ściany żółty bocian i odtańczył kilka tańców. I to jak wesoło, jak pociesznie! A po tańcach wrócił na ścianę.

Oczarowani i zdumieni goście, własnym oczom nie wierząc, głośno wyrażali swój zachwyt.

Wieść o tym dziwie rozniosła się echem po całej okolicy. Herbaciarnię ciągle oblegały tłumy ludzi.

Gospodarz szybko się bogacił. Prawdę powiedział student Mi.

Ale oto pewnego dnia przybył do herbaciarni bogaty mandaryn. Patrzy — dokoła siedzą sami robotnicy i chłopci. Niezadowolony mandaryn kazał ich wszystkich przepędzić.

Słudzy jego rzucili się na siedzących z pałkami i ludzie pouciekali.

Gdy mandaryn został sam, położył przed właścicielem herbaciarni stos pieniędzy i zażądał, żeby mu pokazał tańczącego bociana.

Gospodarz na widok pieniędzy stracił głowę i trzy razy klasnął w dłonie. Bocian niechętnie zszedł ze ściany i zasepiony

przetańczył jeden taniec. Wyglądał przy tym, jakby był ciężko chory. Potem wrócił na ścianę i już się nie poruszył. Daremnie mandaryn krzyczał, groził — nic nie pomagało.

A w nocy rozległo się kołatanie do drzwi herbaciarni.

Gospodarz poszedł otworzyć. Na progu stał student Mi. W milczeniu wyjął z kieszeni fujarkę, zagrał na niej i odszedł nie oglądając się. Bocian drgnął, sfrunął ze ściany i pospieszył za studentem.

Od tego czasu nikt już nie widział ani studenta Mi, ani jego czarodziejskiego bociana.



LIS I TYGRYS



Głodny tygrys upolował lisa.

— Nie masz prawa mnie zjeść — powiada lis.

— Czemuż to? — dziwi się tygrys.

— Albowiem bóg mnie uczynił władcą wszystkich zwierząt.

— Cha, cha, cha! — śmieje się tygrys. — Ciebie? Władcą? Z takim nędznym wzrostem? To ja, ja właśnie jestem władcą zwierząt. To mnie się boją zwierzęta.

— A więc nie wierzysz mi? — zapytał spokojnie lis.

— Ani trochę — odpowiedział zuchwale tygrys.

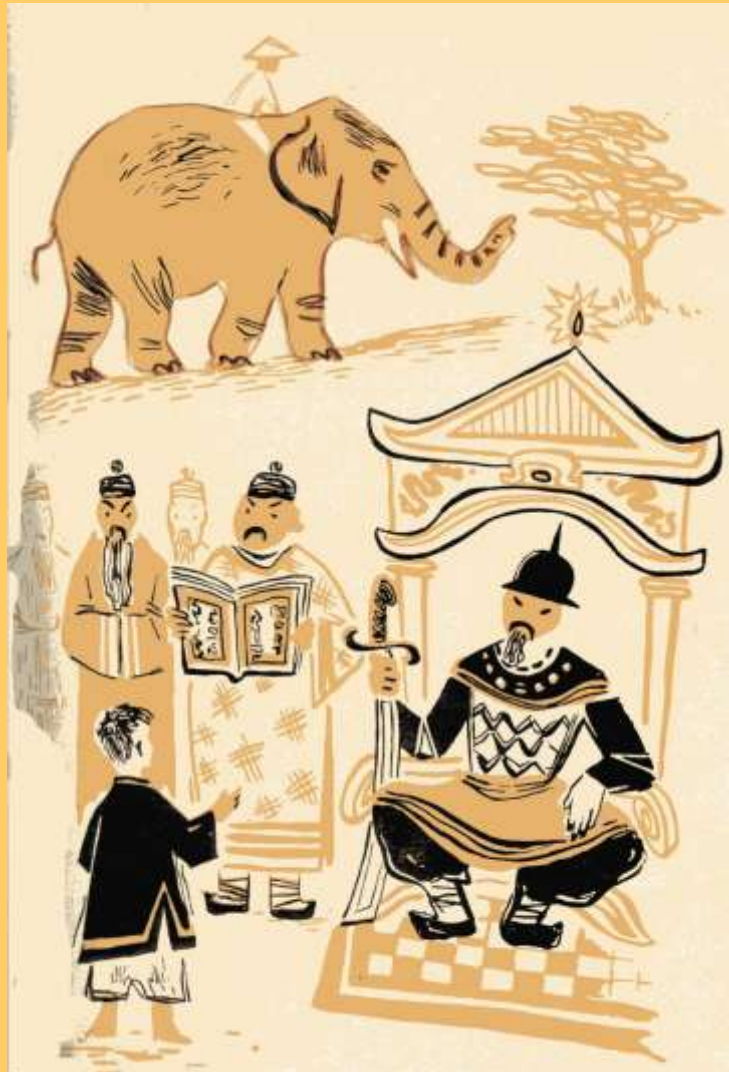
— No, to się przekonasz. Chodź ze mną i zobaczysz na własne oczy, jak wszystkie zwierzęta będą przede mną w strachu umykać — rzekł lis.

Poszli. I rzeczywiście zwierzęta, gdy napotkały lisa w towarzystwie tygrysa, uciekały w popłochu. Ale głupi tygrys nie zrozumiał, że to właśnie jego zwierzęta się boją, że to przed nim tak uciekają, i pomyślał, że lis rzeczywiście budzi w nich trwogę.

I wielki drapieżnik tygrys, złożony przed malutkim lisem głęboki ukłon, cofnął się przed nim z szacunkiem.



JAK ZWAŻYĆ SŁONIA



Żył przed laty w Chinach wielki wojownik Tao-Tsen. Pewnego razu Tao-Tsen otrzymał w darze olbrzymiego słonia. Słoń był w owych czasach wielką rzadkością. Nie dziw przeto, że wprawiał w zdumienie każdego, kto go zobaczył. Sam Tao-Tsen oszołomiony był rozmiarami tego olbrzyma.

Zamyślił się Tao-Tsen: „Ileż też może ważyć ten słoń?”

Wezwał swoich nadwornych doradców i mędrców i rzekł:

— Wezwałem was, bo chcę usłyszeć z waszych ust, jak zważyć słonia. Mędracy spojrzeli po sobie niepewnie. Zaczęli myśleć. Myśleli cały dzień aż do wieczora, zmęczeni się i nie wymyślili nic. Poprosili więc Tao-Tsena, żeby dał im więcej czasu do namysłu.

Udali się mędracy do swoich domów i znów myśleli całą noc.

Rano przybyli do pałacu.

— Jakże? Wymyśliliście? — spytał Tao-Tsen.

— Wymyśliliśmy — odpowiedzieli mędracy zgodnym chórem. Ten, który był pośród nich najtłustszy i dlatego najważniejszy, wystąpił naprzód, otworzył wielką księgę i zaczął czytać.

Tao-Tsen słuchał z przymkniętymi oczami.

— Nie ma w całych Chinach tak wielkiej wagi, żeby można było zważyć na niej słonia — czytał z powagą tłusty mędrzec.

A Tao-Tsen kiwał głową przyznając mu słuszność.

— I dlatego — ciągnął dalej mędrzec — rada najmędrszych spośród mądrych orzekła, że aby zważyć słonia, należy porąbać go na kawałki, zważyć każdy kawałek z osobna i liczby do siebie dodać.

Tao-Tsen otworzył szeroko oczy, podskoczył z gniewu i krzyknął:

— Czy już nic bardziej głupiego nie zdołali wymyślić najmędrsi spośród mądrych?! Czyżby w całych Chinach nie znalazł się człowiek, który by mógł mi powiedzieć, jak należy zważyć słonia?!

I oto rozległ się cienki głosik:

— Ja wiem, jak należy zważyć słonia.

Powiedział to Tin-Li — mały synek ogrodnika. Przyniósł on właśnie owoce dla Tao-Tsena.

Wszystkich obecnych oburzyło niesłychane zuchwalstwo małego ogrodniczka. Ale wielki wojownik rozkazał łaskawie:

— Mów!

— To bardzo proste — powiedział mały Tin-Li. — Postawcie słonia na dużej łodzi i zobaczcie, do jakiego miejsca łódź zanurzy się w wodzie. Wyprowadźcie następnie słonia na brzeg i nałóżcie do łodzi tyle kamieni, żeby zanurzyła się tak samo jak wtedy, gdy był w niej słoń. Zważcie następnie każdy kamień z osobna i dodajcie liczby, które otrzymacie. W ten sposób dowiedziecie się, ile waży słoń. A słoń pozostanie cały i żywy.

— Niezwykłe i piękne rozwiązanie! — zawołał Tao-Tsen zachwycony.

A czerwoni ze wstydu, tłuści, ważni mędracy i doradcy odeszli ze spuszczoneymi głowami.

Tak oto mały Tin-Li, syn prostego ogrodnika, zawstydził nadwornych mędrców.



BOGACZ I JEGO PAROBEK



Pewnego razu rozgorzał spór pomiędzy panem a jego parobkiem. — Cóż z tego, że jestem biedny? — bronił się parobek. — Ale za to ręce mam zręczne, zdrowe i dobrze potrafię nimi pracować.

— Ach, ty psi synu! — ciskał się bogacz. — Psu na budę zda się cały twój trud! Co ty z tego masz? Spójrz na siebie. Wyglądasz jak ostatni nędzarz! I nigdy grosza złamanego nie masz przy duszy.

— A po co mi grosze? Mój skarb to moje ręce. Umiem nimi siać, umiem młócić, wodę nosić, drwa rąbać — nie dadzą mi moje ręce zginąć. A ty co umiesz? — spytał pogardliwie parobek swojego gospodarza.

— A po co ja mam coś umieć? Czyż nie jestem dostatecznie bogaty i szczęśliwy? Nigdy w życiu nie musiałem

troszczyć się ani o chleb, ani odzież. Nie ja tobie służę, ale ty mnie — chełpił się zarozumiały bogacz.

Długo tak się spierali: jeden twierdził, że najważniejsza rzecz to majątek, a drugi upierał się, że praca, praca i tylko praca. Nie mogli dojść do ładu.

— Spróbujmy, który z nas jest mocniejszy i bardziej wytrzymały! — krzyknął wreszcie parobek. — Kto z nas dłużej wytrzyma na trzaskającym mrozie? Chodźmy na całą noc w góry! Wtedy przekonamy się!

— Chodźmy, czemu nie. Tylko zapamiętaj sobie — powiedział bogacz — jeżeli tam zamarzniesz na śmierć, to ja na twój pogrzeb złamanego grosza nie dam.

— A ty, bogaczu, też sobie zapamiętaj, że ja za twoją śmierć odpowiadać nie będę.

Tak więc postanowili podjąć próbę.

Nadszedł wieczór. Parobek posilił się przed drogą i wyruszyli.

Bogacz wciągnął na siebie ciepłe watowane portki, grube wełniane skarpety, futrzaną kamizelę, futrzany kaftan, na to szubę podbitą futrem i jeszcze gruby kozuch. Ponadto zabrał na drogę worek słodkich pszennych bułek.

A parobek? Przecież on nigdy w życiu nie miał na sobie ciepłej odzieży. Więc i teraz poszedł, tak jak stał, w zniszczonych bawełnianych portczynach w takimże kaftanie. Wziął tylko topór w rękę, pudełko zapalek i trochę surowych ziemniaków. Przez całą drogę bogacz drwił z parobka. Już widział się zwycięzcą w tym sporze. A parobek szedł, nie mówił nic i nie wiadomo nawet, o czym myślał.

Zapadła noc. Ach, cóż to była za noc! Wicher świstał koło uszu, tamował oddech, przenikał do szpiku kości. Mróz wzmagął się z godziny na godzinę. Wiatr i ziąb poprzez wszystkie kozuchy bogacza dobrały się wnet do jego skóry i kłuły niczym stalowe igły. Bogacz poczuł, że kostnieje. Wsunął rękę do worka, ale worek był pusty. Bułki dawno się skończyły. Nie zauważył nawet, kiedy je zjadł.

Zapragnął tedy zobaczyć, co się dzieje z parobkiem. Z trudnością odwrócił głowę w jego stronę i aż usta otworzył z podziwu. Parobek, jakby nigdy nic, wymachuje toporkiem, drzewo rąbie i nie tylko że nie zamarzył, ale przeciwnie — pot spływa z niego strumieniami. W dodatku rozpałił sobie ognisko. Ciepło mu, głód mu też nie dokucza — zajada pieczone ziemniaki i śmieje się z bogacza, któremu od smakowitych zapachów ślinka cieknie po brodzie. Bogaczowi jeść się chce i chętnie by się ogrzał przy ognisku biedaka, ale pycha nie pozwala. Jakże to? On, bogacz, przed swoim własnym parobkiem się ukorzy? Nigdy!

A mróz coraz bardziej i bardziej się sroży. W końcu tak mocno skuł nieszczęsnego bogacza, że ten wyzionął ducha.

Gdy zaczęło świtać, parobek krzyknął do bogacza:

— Ano, jak myślisz, co jest lepsze: bogactwo, czy praca?

Nikt mu nie odpowiedział.



TYGRYS, JELEŃ I LIS



Spacerował pewnego razu na stoku wzgórza tygrys. A maleńki jelonek skubał pod drzewami zieloną trawę. Spozstrzegł jelonek tygrysa i serce w nim zamarło. Uciec już nie może. Za późno! Zebrał się więc jelonek na odwagę i postanowił oszukać tygrysa. Wiedział, że tygrys nigdy jeszcze jelenia nie widział.

Jelonek udał, że nie spostrzegł tygrysa, i dalej spokojnie skubał trawkę. Zdumiał się tygrys, co za dziwny zwierz — nie boi się go i nie ucieka przed nim. Podszedł do niego bliżej i zapytał:

— Powiedz, mój kochany, po co masz takie rogi na głowie?

Jelonek podniósł głowę i odpowiedział:

— Żeby rozszarpywać tygrysy.

Tygrys zapytał znowu:

— A dlaczego masz te plamy na skórze?

Jelonek na to:

— Za każdym razem, gdy zjem tygrysa, na mojej skórze występuje plama. Tylu już zjadłem twoich krewnych, że nie potrafię zliczyć plam na mojej skórze.

Usłyszawszy te straszne słowa tygrys tak się przeraził, że wziął nogi za pas i czmychnął.

Po drodze spotkał lisa i wszystko mu opowiedział. Lis zaczął się śmiać:

— Cha, cha! Taki mały jelonek, a wyprowadził cię w pole! Ale tygrys nie uwierzył lisowi i dalej trząsał się ze strachu.

— Jeżeli nie chcesz mi wierzyć — powiedział lis — zrobmy tak: wsiądę ci na grzbiet i udamy się razem do jelonka; sam się przekonasz, że cię oszukał.

Tygrys zgodził się.

Gdy mały jelonek zobaczył ich z daleka, zrozumiał, że podły lis zdradził go.

„Oj, źle! Co to będzie?!” — pomyślał.

Ale nie stracił przytomności umysłu i krzyknął wielkim głosem:

— Dzięki ci, najdroższy lisie, kochany przyjacielu! Zaledwie wczoraj obiecałeś, że przyprowadzisz mi tygrysa, a tak prędko dotrzymałeś słowa. Jaki piękny, tłusty tygrys! Smaczny będę miał obiad!

Usłyszał te słowa tygrys, chwycił w zęby nieszczęsnego lisa i rzucił się do ucieczki.



WYSPA SŁOŃCA



Dawne to dzieje. Żyli ongiś niedaleko miasta Czendu dwaj bracia: Starszy i Młodszy. Mieszkali w jednym domu. Ale nie było między nimi zgody. Starszy Brat był bogaty i chciwy, a Młodszy był biedny. Żona Starszego Brata nie lubiła biednego krewniaka.

Przyszła wiosna i trzeba było siać ryż. Starszy Brat zasiał, a Młodszy nie miał czym.

Przyszedł Młodszy do Starszego i prosi:

— Pożycz, bracie, troszkę ryżu na zasiew. Gdy zbiorę plon, zwrócę ci wszystko do ostatniego ziarnka.

Pożałował bogaty chciwiec garsteczki ryżu dla biednego brata i nie dał mu nic. A żona bogacza powiedziała:

— Dobrze. Zaraz ci przyniosę ryżu, ale musisz troszkę poczekać.

Złośliwa kobieta pobiegła do kuchni, ugotowała garnek ryżu i dała ugotowane ziarno Młodszemu Bratu.

Zasiał biedak ten ryż i czeka, aż zakiełkuje, żeby przesadzić go na pole. Ale, oczywiście, gotowane ziarno nie wypuściło kiełków. Kiełek wypuściło tylko jedno jedyne ziarenko. Zielony kiełek rósł, rósł i z każdym dniem stawał się większy. Pielęgnował go Młodszy Brat i strzegł jak źrenicy oka. Polewał, okopywał, chronił przed gąsienicami. I oto wkrótce ryżowy kiełek wyrósł na prawdziwe drzewo — rozłożyste i wysokie, a gałęzie jego tak były gęste, że przykryły całe pole i pod ciężarem olbrzymich ziarn uginały się do samej ziemi.



Nadeszła pora żniw. Młodszy Brat wstał o świcie, wziął topór, poszedł w pole i ściał cudowne drzewo.

Zaledwie drzewo zważyło się na ziemię, zerwał się wicher, słońce ukryło się za chmurami i nadleciał olbrzymi, czarny ptak. Ptak schwycił drzewo w dziób i chciał je porwać. Wtedy Młodszy Brat uczeplił się mocnych gałęzi.

Drzewo i człowiek to ciężar ponad siły ptaka! Doleciał tylko nad brzeg morza i opadł na ziemię.

— Słuchaj, człowieku — powiedział — na co ci to drzewo? Oddaj mi je. Zniosę cię za to na czarodziejską górę. Tam zamiast kamieni leży złoto i srebro. Nabierzesz sobie tych skarbów, ile dusza zapragnie. Starczy ci na całe długie życie.

Zgodził się Młodszy Brat. Puścił drzewo, usadowił się na grzbiecie ptaka, a ptak wzbił się z nim pod niebiosa.



— Zamknij oczy — powiedział ptak.

Młodszy Brat zamknął oczy; wiatr gwizdał mu w uszach. Wkrótce znaleźli się na jakiejś wyspie.

— Spójrz, ile tu złota — powiedział ptak. — Bierz, ile chcesz! Ale nie bądź chciwy! To jest Wyspa Słońca i jeżeli pozostaniesz tu zbyt długo, słońce wróci na nocleg i spali cię. A ja nie będę ci mógł pomóc.

— Dobrze — powiedział Młodszy Brat i zeskoczył z grzbietu ptaka na ziemię.

Złoto, srebro i drogie kamienie stosami leżały dokoła i rozsiewały tak oślepiający blask, aż oczy bolały. Młodszy Brat zastanowił się chwilę, następnie schylił się, podniósł z ziemi jeden kawałek złota i schował do rękawa.

— Dlaczego tak mało wziąłeś? — zdziwił się ptak.

— Więcej mi nie trzeba.

— Siadaj zatem na mój grzbiet i wracamy.

Siadł Młodszy Brat na grzbiet ptaka, zacisnął powieki i wkrótce wylądowali na polu w pobliżu domu. Młodszy Brat pożegnał się z ptakiem i poszedł do domu, a ptak odfrunął.

Młodszy Brat kupił za złoto zabrane z Wyspy Słońca kawałek gruntu, wybudował domek i rozstał się ze Starszym Bratem. Zamieszkał sam. Pracował od świtu do zmroku i nie znał biedy. A Starszy Brat z zawiści całkiem stracił spokój. Chciwość go rozsadzała. Przyszedł kiedyś do Młodszego Brata i zaczął wypytywać:

— Jak zdobyłeś to złoto?

Młodszy Brat opowiedział, jak było.

Pobiegł Starszy Brat do swojej żony, a żona powiada:

— Zrób tak samo!

Ugotowała garnek ryżu i Starszy Brat zasiał ugotowane ziarnka. I znów z ziemi wychylił się tylko jeden kiełek i kiełek ten rozrósł się w wielkie, potężne drzewo. A gdy Starszy Brat je ściął, znów nadleciał wielki, czarny ptak i zaczął prosić:

— Oddaj mi, człowiecze, to drzewo, a zaniosę cię na czarodziejską górę na Wyspie Słońca i nabierzesz sobie tyle złota, ile zapragniesz.

— Nieś mnie prędko! — krzyknął Starszy Brat.

Przylecieli na wyspę, którą ze wszystkich stron oblewało morze, i opuścili się na zaczarowaną górę.

— Idź, zbieraj złoto, a uważaj, śpiesz się, bo słońce wróci na nocleg i spali cię swoimi promieniami.

Ale Starszy Brat już nie słuchał, co ptak mówi. Pod nogami iskrzy mu się złoto, drogie kamienie lśnią ognistym blaskiem, a srebro leży białymi grudami. Zatrzęsły mu się z chciwości ręce,

zadrżały nogi. Zwalił się całym ciałem na skarby i zaczął w zachłannym pośpiechu napychać nimi kieszenie, chować za pazuchę i w rękawy, co się zmieści. Starał się zagarnąć jak najwięcej.



— Dosyć! — krzyczy ptak. — Ciężko mi będzie lecieć!
— Nie szkodzi, doleczysz — odpowiada chciwiec, a sam ledwo może się poruszać, tak mu ciężko.
— Już późno! — krzyczy ptak. — Słońce powraca!
— Nie szkodzi. Czekaj! Jeszcze tylko dwa lub trzy kawałki wezmę — odpowiada nienasycony chciwiec.

I oto wychyliło się zza morza olbrzymie, rozżarzone słońce. Wyciągnęło swoje płomienne palce ku wyspie i spaliło chciwego brata. A ptak uniósł się w górę i odleciał.



LU-IN I MAKAKA



Czyżbyście nie znali żółwia Lu-In? No, tego Lu-In, co mieszka w rozpadlinie skalnej na brzegu oceanu. Nie znacie go? To wielka szkoda. Lu-In przeżył na tym świecie trzysta lat i ma co opowiadać swoim przyjaciołom. Ale o jednej przygodzie stary żółw nigdy nikomu nie wspomina ani słowem. O przygodzie z małpą. Zaraz zrozumiecie, dlaczego Lu-In nie lubi o tym mówić. Było to tak:

Pewnego dnia, gdy żółw przechadzał się po wybrzeżu, spotkał małpę — makakę. Małpiszon bardzo przypadł żółwiowi do serca, Lu-In powiada więc do niego:

— Czcigodny makako! Już dawno marzyłem o przyjaźni z tobą i jestem szczęśliwy z tego spotkania.

— Niezmiernie długą drogę odbyłem — odpowiedział makaka — żeby ciebie, czcigodny Lu-In, zobaczyć, rozkoszować się twoją mądrością i podziwiać twoją wspaniałą urodę i niezwykły wdzięk.

I tak, prawiąc sobie nawzajem miłe słówka, niepostrzeżenie zbliżyli się do skały, gdzie znajdowało się mieszkanie żółwia.

— Przemiły makako — rzekł żółw — zrób mi tę przyjemność i zjedz ze mną obiad.

I ugościł małpę świeżutkimi małżami, tłustymi muszkami oraz soczystą morską kapustą. Na deser były maleńkie kolorowe meduzy. Po tym wyszukany obiedzie żółw odprowadził drogiego gościa. Małpa mieszkała w pobliskim lesie. Pogoda była cudowna, droga piękna i przyjaciele wcale się nie zmęczyli.

— O, już jesteśmy — powiedział makaka i zatrzymał się przy grubej, wysokiej palmie. — Mój dom mieści się na samym wierzchołku. Proszę, czcigodny Lu-In, wstąp w moje nędzne progi i bądź moim gościem.

— Najmilszy makako — odparł żółw mocno zakłopotany — czyżbyś nie wiedział, że nie umiem łązić po drzewach? Umieję, owszem, pływać w wodzie, opuszczać się na samo dno oceanu, łowić muchy, ale łązić po drzewach? Nie, tego nie potrafię.

— Ach, drobnostka! — wykrzyknął pomysłowy makaka. — Trzymaj się tylko mojego ogona zębami i nic się nie bój.

Żółw zrobił, co mu kazano, i małpa zaczęła zręcznie wdrapywać się na wierzchołek palmy...

Nigdy w życiu żółw nie znajdował się na takich karkołomnych wysokościach. Dech mu zapierało w piersiach ze strachu. A makaka wznosił się coraz wyżej i wyżej, ciągnąc na swoim ogonie czcigodnego Lu-In. I oto nareszcie dosięgnęli domku małpy. Żona makaki wysunęła głowę przez okno i krzyknęła radośnie:

— Ach, kogo ja widzę! Jakże się cieszę z wizyty tak upragnionego gościa!

A trzeba wam wiedzieć, że nasz zółw był bardzo dobrze wychowany i zawsze na miłe słowa odpowiadał równie miłymi słowami. Nikt nie wie, co Lu-In zamierzał powiedzieć żonie makaki, albowiem, zaledwie otworzył pyszczek, natychmiast wypuścił z zębów ogon małpy i pokoziołkował na ziemię. Biedak spadł z takiej wysokości, że omal nie skręcił karku.

Makaka w kilku susach znalazł się na dole i zaczął pocieszać nieostrożnego gościa. Kiedy Lu-In przestał nareszcie jęczeć, makaka rzekł:

— Błagam cię, trzymaj się mojego ogona z całych sił i ani słowem nie odpowiadaj na przywitanie mojej żony. Zaklinam cię!...

— Postaram się milczeć — przemówił słabym głosem Lu-In.

I małpa znów zaczęła wspinać się ku wierzchołkowi palmy, ciągnąc za sobą zółwia. Gdy znalazła się przed domem, żona makaki znów wyjrzała przez okno.

— Mam nadzieję, że nasz dostojny gość nie potłukł się przy spadaniu? — rzekła ze współczuciem. — Tak mi przykro, doprawdy!...

„Ach, jaka uprzejma jest ta żona makaki” — pomyślał zółw z wdzięcznością i zapominając o grożącym niebezpieczeństwie powiedział:

— Dzięk...

Chciał powiedzieć: „Dziękuję za wyrazy współczucia”, ale nie zdążył, bo otworzywszy pyszczek, znów spadł na ziemię.

Długo nie zgadzał się zółw, by ponowić próbę odwiedzenia małpy, ale makaka tak natarczywie go namawiała, tak zaklinała, że Lu-In zaryzykował jeszcze ten ostatni raz.

Zaledwie zbliżyli się do domu, żona makaki zawołała:

— Czyżby nasz drogi gość znów spadł?!

— Tak — westchnął zółw i na łeb, na szyję pokoziołkował w dół. Tym razem tak dotkliwie się potłukł, że stracił

przytomność. Kiedy się ocknął z omdlenia, natychmiast pokuśtykał do siebie.

Nie pomogły błagania makaki, który usiłował namówić czcigodnego Lu-In do jeszcze jednej próby. Żółw pozostał głuchy na wszelkie namowy. Następnego dnia makaka udał się w odwiedziny do swojego wczorajszego gościa. Żółw przywitał go uprzejmie.

— Jak to dobrze, żeś przyszedł! — powiedział. — Wybieram się właśnie na spacer po morzu. Zapraszam cię serdecznie.

— Ależ, drogi Lu-In, przecież ja nie umiem pływać! Umiem wdrapywać się na drzewa, wybierać jajka z ptasich gniazd, chodzić na trzech, a nawet na dwóch rękach, ale na wodzie nie utrzymam się ani sekundy.

— Ach, drobnostka! — wykrzyknął żółw. — Siadaj na mój grzbiet i nic się nie bój.

Małpy nie trzeba było namawiać. Natychmiast wskoczyła na grzbiet żółwia i Lu-In zręcznie odpłynął od brzegu.

Ta niecodzienna podróż z początku bawiła makakę. Bądź co bądź nie , każda małpa ma sposobność pływać po oceanie na żółwim grzbiecie. Ale wkrótce makaka zaczął się nudzić. Bo też powiedzcie sami: jak daleko okiem sięgnąć, nic — tylko woda i woda, woda i woda aż do obrzydzenia. Nic ciekawego...

I nagle małpa zaczęła cichutko chichotać. Przypomniało jej się, jak to wczoraj żółw koziółkował z drzewa na dół.

— Nie wierć się — ostrzegł ją Lu-In. — Stoczysz się z mojego pancerza. Przecież jest śliski!

Ale małpa nie mogła się powstrzymać i chichotała coraz głośniej i głośniej. A gdy sobie przypomniła, jak Lu-In zwalił się po raz drugi, ze śmiechu aż się zatrzęsała.

— Siedź spokojnie! — krzyknął niezadowolony żółw. — Co cię tak śmiesz?

A makaka w tej chwili przypomniał sobie, jak to Lu-In komicznie pokuśtykał, gdy zleciał za trzecim razem. I dławiąc się ze śmiechu, powiedział:

— Przypomniałem sobie... przypomniałem sobie... Cha-cha-cha!...

I wesoła małpa, niepomna na przestrogi żółwia, tak się zaczęła tarzać ze śmiechu, że zwała się w morze, zachłysnęła się i omal nie utonęła.

Od tego czasu stary, czcigodny żółw nigdy nie zawiera znajomości z ruchliwymi małpami.



FARBOWANY SZAKAL



Były ongiś czasy, kiedy leśną krainą rządziły szakale. Długo mieszkańcy tej krainy cierpliwie znosili ród szakali — ciągle żywili nadzieję, że już wkrótce, że tylko patrzeć, a los ich odmieni się na lepsze. Ale przecież w końcu przebrała się miara cierpliwości uległych poddanych. Nie chcieli dłużej znosić krwawych rządów szakali. I oto wspólnymi siłami przepędzili

podłych, nienasyconych ciemieży cieli. Nareszcie odetchnęli — byli wolni. Szakale w strachu o całość swoich grzbietów uciekły w popłochu hen, za lasy, za morza, tam gdzie sprawują rządy ich krewniacy — hieny. Jeden tylko stary szakal — a był to cwany, kuty na cztery nogi zwierz — odważył się powrócić do krainy, w której tak jeszcze niedawno wspaniale mu się powodziło. Zaczął też przemyśliwać, jakich użyć sztuczek, żeby z powrotem uchwycić ster rządu w swoje chciwe pazury.

Długo myślał stary szakal i wpadł na bardzo chytry i zarazem prosty pomysł: ufarbował się na błękitny kolor, poczekał, aż farba na nim przeschnie, i tak odmieniony stanął przed mieszkańcami lasu. Las przyjął go szmerem zdumienia. Z wyglądu niby szakal — ale czyż bywają błękitne szakale?

— Dziwne, bardzo dziwne! — rozlegało się ze wszystkich stron. — Niesłychane zjawisko! Błękitny jak niebo podczas najpiękniejszej pogody!

— Przybyłem tu do was zza morza — oznajmił z powagą stary chytrus — z kraju hien, gdzie wszyscy żyją w wielkiej szczęśliwości. Tam właśnie stałem się błękitny. Ach, gdybyście wiedzieli, jakie to szczęście być błękitnym! Jakby się było spokrewnionym z samym niebem! Własnymi oczami ogląda się szczęście. Mogę wam dopomóc, żebyście i wy przybrali kolor nieba i żebyście również osiągnęli szczęście. Ale musicie mi obiecać zupełne posłuszeństwo i absolutnie poddać się mojej woli.

Wszyscy razem i każdy z osobna jeszcze raz dokładnie obejrzeni niezwykłego, błękitnego szakala.

„Jeżeli on zna sposób na to, jak stać się błękitnym, to potrafi chyba dotrzymać wszystkich obietnic i uczynić nas szczęśliwymi — pomyśleli zebrani. — Jest na pewno bardzo mądry... Niechaj więc nauczy nas tego wszystkiego, co sam umie. Może dzięki niemu znajdziemy drogę do szczęścia...”

— Zgoda — rzekli więc do szakala. — Bądź naszym władcą. I błękitny szakal rozpoczął swoje rządy.

W lasach, na polach i jeziorach znów pojawili się poborcy podatków. Na spokojnych mieszkańców posypały się kary i

wszelakie niesprawiedliwości. Wróciły dawne czasy nienawistnych rządów szakali. Błękitny władca okazał się nielepszy od swoich poprzedników. Wiercił błękitnym ogonem i szczekał:

— Jeszcze trochę, bądźcie cierpliwi, a zobaczycie, jakie błękitne życie wam urządzę! Staniecie się błękitni i wzniesiecie się wszyscy w bezchmurne niebo. Ale wymagam posłuszeństwa i cierpliwości.

I choć liczba niezadowolonych rosła z każdym dniem, wielu wciąż jeszcze wierzyło nowemu władcy: albowiem bardzo niezwykły był kolor jego skóry.

— Wszak zdołał stać się błękitnym — mówili na swoje usprawiedliwienie zwolennicy szakala. — Kto wie, może potrafi również i inne cuda zdziałać! Uchroni nasze pastwiska przed posuchą albo obroni nas przed powodzią... Warto dlatego pocierpieć jeszcze trochę.

Ale oto zerwał się pewnego dnia ciepły wiosenny wiatr i lunął deszcz. Trzy dni i trzy noce lały się bez przerwy na ziemię potoki wody. Wezbrały rzeki, wszystkie nieczystości zostały spłukane, w lesie nie pozostało ani jedno nie umyte źdźbło. A gdy rozstały się chmury, deszcz ustał i wyjrzało słońce, okazało się, że błękitny władca znikł.

— Może znudziło mu się patrzeć na deszcz i wzniósł się do nieba? — wyraził przypuszczenie wilk.

— Och, on na pewno przeprowadził się do krainy błękitów — wypowiedział swoją opinię zajac.

— Ojej! Ojej! — krzyknęła nagle z drzewa kukułka. — Patrzcie, jaki tłusty szakal! Nigdy w życiu takiego tłustego szakala nie widziałam!.

— Jak to? Szakal wśród nas? — dziwili się wszyscy. — Szakal nie odważyłby się tu przyjść!

— Ojej! Ojej! Przecież to nasz władca! — znów krzyknęła kukułka. — Zmókł na deszczu i woda zmyła z niego całą farbę! Patrzcie, jaka niebieska kałuża pod krzakiem!

I wszyscy naraz ujrzeli, że przed nimi stoi najzwyczajniejszy pod słońcem, tchórzliwy szakal.

— Ach, tak! Więc tego nauczył się w kraju hien — zmieniać kolor skóry! — krzyknęli z gniewem zebrani. — Śmierć oszustom i złodziejom!

A że szakal był gruby i nie mógł prędko zmykać, więc dopadli go jego poddani i rozszarpali na kawałki.

Od tej pory mieszkańcy lasów, pól, rzek i jezior żyją wolni i szczęśliwi. A szakale, mimo swoich zachłannych apetytów, starannie unikają tej krainy. Albowiem znają się tam na farbowanych szakalach.



OCZY ŚWIĘTEGO SMOKA



W niepamiętnych czasach, przed tysiącem lat, a może jeszcze dawniej, nie było na świecie ani jednej studni. Był to złoty wiek łagodnych, spokojnych wiatrów, umiarkowanych deszczów i słońca, które, darząc ziemię życiodajnym ciepłem, nie spalało zasiewów rolnika. Ludzie nie musieli troszczyć się o nawodnienie pól. Gdzie wił się dym nad domostwem, tam też toczyły się wody jakiegoś strumyka.

Łatwo i szczęśliwie żyło się człowiekowi w owych czasach. Ale oto przyszły złe wichry, ustały łagodne deszcze, a tak jeszcze niedawno dobrotliwe słońce prażyło teraz ziemię palącymi promieniami.

Przez trzy długie lata nie spadła na ziemię ani jedna kropla deszczu. Minął czwarty rok i również nie spadły deszcze. Wyschły źródła i ziemia przestała rodzić chleb. Były to straszne lata posuchy i nieurodzaju. Ludzi ogarnęła rozpacz. Zjadali bydło, a zamiast wody pili zwierzęcą krew. Wkrótce zabrakło również i zwierząt. Nieszczęśni ludzie zaschniętymi wargami błagali bóstwa o litość: „Wody! Wody! Chleba! Chleba!”

Mnóstwo ich ginęło z głodu i pragnienia, a ci, którzy jeszcze pozostali przy życiu, zanosili do świętego smoka błagalne modły o deszcz. Zapalili przed posągiem glinianego bożka pałeczki z kadzidłem, a starzy i młodzi szli tłumnie do świątyni. Modły trwały połowę miesiąca, ale upragniony deszcz nie przychodził.

Ludzie składali przed świętym smokiem ofiary z ostatnich wieprzów i baranów. Czterdzieści dni śpiewali hymny pochwalne na cześć bóstwa. Również i to nie pomogło. Na pięćdziesiąty dzień powietrze tak samo było rozprażone i tak samo ani jedna kropla deszczu nie spadła na popękaną z pragnienia ziemię.

Ludzi ogarnął gniew. Wywlekli ze świątyni posąg świętego smoka i przy głośnym biciu bębnow i miedzianych talerzy ponieśli go przez miasto podrzucając z wściekłością. Czterdzieści dni i jeszcze dziewięć ciągnęła się ta ponura procesja. Ale na pięćdziesiąty dzień niebo było tak samo bezlitosne i palące jak przedtem.

Ludzie wpadli w szał. Przenieśli świętego smoka na otwarty plac i pozostawili go pod palącymi promieniami słońca. Dwa dni lud otoczywszy glinianego bożka płakał, jęczał i błagał o zmiłowanie. Wszystko nadaremno. Wówczas udręczony lud zwrócił przeciw bożkowi swój wściekły gniew i zaczął go okładać czym popadnie.

I to nie pomogło. Deszczu nie było i nawet najmniejszy obłoczek nie ukazał się na rozpalonym niebie. Zdawało się, że nadszedł koniec świata. Ludzie leżeli pokotem na ziemi i biernie oczekiwali śmierci.

Ale oto zjawił się człowiek wysokiego wzrostu, z piękną głową, mądrą twarzą i szerokim, otwartym czołem. Podnosił z ziemi leżących i mówił:

— Wstawajcie! Wstawajcie! Naradzimy się, co należy zrobić!

— Nic się już nie da zrobić — odpowiadali zrezygnowani ludzie. — Święty smok rozgniewał się na nas i nie chce nam zsyłać deszczów.



— Choć widzi dokoła śmierć i zniszczenie, nie chce nam pomóc. Jakżeż będziemy żyć?

I znów jeden po drugim kładli się pokotem i pokornie czekali na śmierć.

Mi — tak się nazywał wysoki człowiek — pokiwał swoją piękną głową i poszedł na plac popatrzeć na wyschnięty w słońcu gliniany posąg świętego smoka. Stał przed nim długo, spoglądając uważnie i głęboko nad czymś rozmyślając. I nagle zawrócił z rozjaśnioną twarzą.

— Wstawajcie! Wstawajcie! Prędko! Jest rada! Jest ocalenie! — wołał. Ludzie zerwali się na równe nogi.

— Co?! Jaka rada?! Jakie ocalenie?!

Mi zaprowadził ich do glinianego bożka i powiedział:

— Przyjrzyjcie mu się dobrze. Święty smok nie ma oczu! Jakiś złoczyńca wykradł mu jego oczy i zakopał głęboko, głęboko w ziemi! Jakżeż się nie ma na was gniewać? Jakżeż chcecie, żeby obdarował was deszczem? Zwróćmy mu jego oczy, a wtedy zobaczycie, że wody nie zbraknie.

I rzeczywiście — święty smok zamiast oczu miał dwa puste oczodoły.

— Bierzmy się do roboty! Szukajmy oczu naszego boga! — rozlegało się zewsząd.

Przyniesiono łopaty, motyki i zaczęto kopać w miejscu, które wskazał Mi. Mi porozstawiał ludzi i nie wypuszczając łopaty z ręki, sam kopiąc więcej niż inni, dodawał im otuchy, podtrzymywał na duchu, zagrzewał do wytężonej pracy.

Wkrótce wykopano olbrzymi dół. Dokoła wznosiły się ogromne zwały ziemi. Ludzie, udręczeni głodem, pragnieniem i ciężką pracą, rzucali łopaty, padali na ziemię, by po chwili znów brać się do roboty. Wkrótce nie mogli już utrzymać łopat w rękach. Wówczas Mi kazał mocniejszym podtrzymywać słabszych, ale dalej kopać i kopać bez wytchnienia. Ludzie tracili ostatek sił i modlili się już tylko o śmierć. Ale Mi, sam nie przerywając pracy, wciąż podsyczał w nich wiarę w zwycięstwo.

— Kopać! Kopać! Szukać! Szukać! Znajdziemy oczy smoka, będzie deszcz, będzie woda, będzie chleb!

Ale niełatwa to sprawa znaleźć oczy smoka! Siedemdziesiąt — osiemdziesiąt dni, dzień za dniem, kopali ludzie,

a oczu jak nie było, tak nie było. Wielu upadło na duchu i nie chciało już pracować, inni po prostu padali z wycieńczenia.

I znów Mi podnosił leżących na ziemi, osłabłych na duchu i ciele ludzi i mówił im:

— Chyba kopaliśmy nie tak, jak należało. Kopaliśmy wszcz, a teraz będziemy kopać w głąb.

I znów nadzieja wstąpiła w serca udręczonych ludzi, i znowu zabrali się do kopania. Ostatkiem sił ściskali w osłabionych rękach łopaty. Zrozumieli, że jeżeli zaprzestaną pracy, czeka ich



niechybna śmierć, a kopiąc mają jeszcze możliwość odnalezienia oczu świętego smoka i wtedy będą ocaleni. Ustały szemrania. Każdego dnia od świtu do zmroku kopali i kopali. Kiedy już dokopali się do takiej głąbi, że nie mogli schodzić, spuszcza li się kolejno na sznurach i kopali dalej.

W ten sposób pracowali dalsze siedemdziesiąt — osiemdziesiąt dni. I oto pewnego dnia znaleźli to, czego tak strasznie pragnęli... nie były to oczy świętego smoka, lecz woda, zwykła woda! Cały świat był wstrząśnięty tym cudem. Ziemia

odżyła. Ludzie promienieli szczęściem. Beczkami i wiadrami czerpali chłodną, życiodajną wodę. Każdy wypijał najpierw po trzy łyżki, żeby ugasić pragnienie, a następnie skierowano wodę na pola. I zazieleniły się owoce ludzkiej pracy.

Tak wykopano pierwszą na świecie studnię.

Teraz dopiero zrozumieli ludzie, jakich to oczu świętego smoka kazał im szukać mądry Mi i jak szlachetnego podstęp użył, aby nauczyć ich tej wielkiej prawdy, że jedyną siłą, mogącą pomóc człowiekowi, jest jego własna, wyteżona praca.



PRZYSŁOWIA CHIŃSKIE



Mądra pszczoła nie pije ze zwiędłego kwiatu.

Ktę stoniowe nie rosną w pysku psa.

Wiatr lubi wielkie drzewo.

Stary człowiek w rodzinie to skarb.

Bogacze mają krótką pamięć.

Tygrys i jeleni to niedobrana para.

Ryba widzi przynętę, a haczyka nie dostrzega.

Ocalić jedno życie ludzkie — to więcej niż
wybudować siedmiopiętrową pagodę^{*1}.

¹ Świątynia chińska

Miej żal do siebie, a nie do słońca, jeżeli ogród
twój nie zakwitł.

Nie wspinaj się na drzewo, gdy chcesz złowić
rybę.

Nie pytaj gościa, czy życzy sobie, żebyś specjalnie
dla niego zarzął kure.

Kto się dwa razy obejrzy, nie przez to nie
straci.

Uderzyłeś zmiję? Dobij ją, bo odwróci się i ukąsi.

Nie mury tworzą miasto, lecz ludzie.

Odzież lepsza jest nowa, ale przyjaciele —
starzy.

Dużo zasiejesz — dużo zbierzesz, zasiejesz mało
— mało też zbierzesz.

Gdy pijesz wodę — pamiętaj o źródle.

Jedno drzewo to nie aleja.

W papier ognia nie zawiniesz.

Chroń przeszłość, ale poznawaj teraźniejszość.

Ten, kto rzeźbi posąg Buddy, nie składa mu
hołdów.

Wiedza — to skarb, który wszędzie towarzyszy
temu, co ją posiadał.

Wiedza, której co dzień nie wzbogacasz, z
każdym dniem ubożeje.

Zanim wybierzesz sobie dom, poznaj przyszłych
sąsiadów.

Jedna mucha potrafi zepsuć całą beczkę oliwy.

Kto ze studni spogląda w niebo — mało je widzi.

Z kradzionego ryżu smacznej potrawy nie
ugotujesz.

Ziarnko złota znaleźć można, ale ziarnka czasu
nigdy.

Nie odkrywaj starych prawd, wszyscy wiedzą, że
słońce wstaje na wschodzie.

W całym świecie kruki są czarne.

Jedno pokolenie sadzi drzewa, a dopiero następne
odpoczywa w ich cieniu.

Nie mów z kartem o Pigmejach.

Lekarz, który jeździ w palankinie², nie przestąpi
progu chorego biedaka.

Zapytano ropuchę: „Co jest na świecie
najpiękniejszego?” Ropucha pokazała swoje dziecko.

Kto najczęściej kłamie? Ten, co najczęściej mówi o
sobie.

Człowiek bez ojczyzny zasługuje na pogardę.

Kto lubi słono jadać, winien zawnazu
przygotować sobie wodę.

² Lektyka, którą noszą ludzie

Lepiej wcale nie strzelać do tygrysa niżeli tylko
go zranić.

Nie ma dobrych dowodów dla złych ludzi.

Nie studnia jest zbyt głęboka, lecz sznur zbyt
krótki.

Nańbą jest dwa razy pośliznąć się na tym
samym miejscu.

Jeżeli uderzyłeś łotra — umyj zaraz ręce.

Człowiek o krótkim rozumie ma za to język
długi.

Strzecha, która chroni przed deszczem, zrobiona
była przy pogodzie.

Izdebka, w której rozbrzmiewa śmiech, bogatsza
jest od pałacu, w którym mieszka smutek.

Rekin byłby rad, gdyby świat cały znalazł się
pod wodą.

Ten, co cierpi na bezsenność, myśli, że jego łóżko
źle jest ustawione.

Żmija, gdy się znajdzie w pułapce, zawsze
nazywa człowieka przyjacielem.

Ze stu pomysłów bogacza dziewięćdziesiąt
dziewięć dotyczy dalszego z bogacenia się.

Choćbyś nie wiedzieć ile razy powtarzał: cukier,
cukier, cukier — słodczy w ustach od tego nie
przybędzie.

Raczej sto razy odmów, niżbyś miał choćby raz
jeden nie dotrzymać obietnicy.

Najpewniej zamknięte są drzwi, które bez obawy
mogą stać otworem.

Jeżeli lękasz się, że ktoś się dowie o twym czynie,
lepiej zaniechaj go.

Jeżeli twierdzisz, że tygrys jest krową, to spróbuj
go wydoić.

Wieża — nawet najwyższa — zaczyna się od
ziemi.

Jeżeli nie przyznajesz się do błędu — popełniasz
błąd drugi.

Dzielnego czteka robota się boi.

Wśród dobrych przyjaciół nawet woda jest
słodka.

Długi język gaduły — to drabina, po której do
jego domu wchodzi nieszczęście.

Nie trać czasu na głupstwa — wiosny, gdy
przeminie, nie wrócisz.



K O N I E C

Chińskie bajki ludowe i przysłowia
PIĘCIU BRACI LI

Materiały na których oparto opracowanie, wykorzystano z pełnym poszanowaniem praw autorskich i w przekonaniu, że stanowią źródło danych o naszej kulturze i historii oraz że stanowią własność publiczną, a ich rozpowszechnianie służy dobru ogólnemu.

Dokument w formacie *pdf może być wykorzystany wyłącznie do użytku osobistego bez prawa do dalszego obrotu i obiegu komercyjnego lub handlowego i nie może być poddawany modyfikacjom bez zgody autora edycji. Należy go traktować tak, jak książkę wypożyczoną do przeczytania.

Przeczytaj następną stronę!

Uwaga!!!

Bez zezwolenia twórcy wolno nieodpłatnie korzystać z już rozpowszechnionego utworu w zakresie własnego użytku osobistego.

Nie wymaga zezwolenia twórcy przejściowe lub incydentalne zwielokrotnianie utworów, niemające samodzielnego znaczenia gospodarczego

Można korzystać z utworów w granicach dozwolonego użytku pod warunkiem wymienienia imienia i nazwiska twórcy oraz źródła. Podanie twórcy i źródła powinno uwzględniać istniejące możliwości.

Twórcy nie przysługuje prawo do wynagrodzenia.

Pliki można pobierać jeśli posiada się ich oryginał a pobrany plik będzie służył jako kopia zapasowa.

Można pobierać pliki nawet jeśli nie posiada się oryginału, pod warunkiem że po 24 godzinach zostaną one usunięte z dysku komputera.

Szczegółowe postanowienia zawiera USTAWA z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych.

Opracowanie edytorskie: Jawa48©